



AUTORKA NIEZWYKŁEGO
ŻYCIA VIOLETTE

COLETTE

PRZEKŁAD JOANNA PRĄDZYŃSKA

VALÉRIE
PERRIN

ALBATROS

Tytuł oryginału:
TATA

Copyright © Éditions Albin Michel, Paris 2024
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Joanna Prądyńska 2025

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okleinie: Freepik

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



I

21 października 2010

- Halo?
- Dzień dobry pani.
- Dzień dobry.
- Czy jest pani bratanicą Colette Septembre?
- Tak.
- Dzwonię z żandarmerii. Z żandarmerii w Gueugnon. Kapitan Cyril Rampin. Mam dla pani złą wiadomość.
- Odpowiedziała mu cisza.
- Pani ciotka nie żyje.
- Moja ciotka?
- Colette Septembre. Jestem na miejscu z pogotowiem. Znalaziono ją w mieszkaniu przy rue des Fredins dziewiętnaście. Wygląda na to, że zmarła we śnie. Ciało zostanie przewiezione do Zakładu Medycyny Sądowej w celu potwierdzenia tożsamości.
- Moja ciotka Colette od trzech lat leży na cmentarzu w Gueugnon. Mieszkała przy rue Pasteur.
- Mam przed oczami jej dowód osobisty: *Colette Septembre, urodzona w Curdin siódmego lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku*. Na zdjęciu jest młodsza, ale to ona.
- To jakaś pomyłka. Na pewno chodzi o kogoś o tym samym nazwisku.
- W portfelu jest karteczka z informacją: *W razie wypadku proszę zawiadomić moją bratanicę Agnès, numer telefonu zero jeden-czterdzieści dwa-dwadzieścia jeden-siedemdziesiąt siedem-czterdzieści siedem*.

W słuchawce znów zaległa cisza.

– Jest też wskazówka, że chciałaby zostać spalona. I pochowana z Jeanem Septembre'em.

– Z Jeanem?

– Tak. Wie pani, o kogo chodzi?

– To był mój ojciec.

– Jej brat?

– Tak. Ale moja ciotka zmarła trzy lata temu, już mówiłam.

– Gdzie pani mieszka?

– W Paryżu.

– Czy pani ciotka ma innych krewnych?

– Nie, ja jestem ostatnia... Jedyna... ja i moja córka... Ale...

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia. Kiedy mogłaby pani przyjechać zidentyfikować ciało?

2

W 2000 roku moja ciotka Colette zniknęła na trzy dni. Stało się to po meczu FC Gueugnon z Paris Saint-Germain, kiedy po raz pierwszy drużyna drugiej ligi walczyła w finale o Puchar Ligi. Na FC Gueugnon mówiono Kowale, a ciotka przez całe życie była ich wierną fanką.

Wydawało się, że wynik meczu – 2:0 – przyszedł im z łatwością, choć tak naprawdę Dawid walczył z Goliatem. Mecz rozgrywano na paryskim Stade de France i transmitowano w programie trzecim. Na bramce stał Richard Trivino. Kapitanem był Amara Traoré, a trenerem Alex Dupont.

U ciotki na ścianie wisiały portrety Duponta i Émile’a Daniela. Miała zdjęcia całej drużyny i wokół niektórych twarzy zakreśliła czerwonym flamastrem kółko, jakby byli poszukiwani przez mafię.

Pierwszego gola w sześćdziesiątej piątej minucie strzelił Trapasso. W doliczonym czasie gry Flauto zdobył drugą bramkę. Nigdy wcześniej Paris Saint-Germain nie przegrała w finale Pucharu Ligi. Było wiele krzyku i łez. Na cześć zwycięzców wznoszono toast za toastem. Pod paryskim stadionem stały dziesiątki autobusów, które przywiozły kibiców (podczas jazdy ciotka siedziała z przodu, całkiem sama, żeby obserwować drogę). Na trybunach, pod tysiącami żółto-niebieskich transparentów, jak koszulki i spodenki zawodników, kibice skandowali: „I raz! I dwa!”.

Kiedy już mieli wracać, moja ciotka zniknęła. Éric, kierowca autobusu, nie doliczył się Colette wśród pasażerów i zaczął jej

szukać. Wszyscy czekali. Wołali ją. Nie pojawiła się jednak. Zadzwoniono do mojej matki. „Pani szwagierka zniknęła!” Na co mama odparła, żeby się nie przejmowali.

Colette pojawiła się trzy dni później; siedziała jak gdyby nigdy nic w warsztacie nad parą mokasynów numer 42, należących do Christiana Duclosa. Obcas w prawym bucie był porządnie ściechany, bo właściciel lekko kulał, co było pamiątką po upadku z roweru.

Nigdy się nie wyjaśniło, gdzie spędziła te trzy dni. Nikt jej o to nie zapytał. Zresztą nikt jej nigdy o nic nie pytał.

W dzień zwycięstwa FC Gueugnon po raz pierwszy usłyszałam z ust mamy, że ciotce już zdarzało się znikać, ale zawsze wracała. Moja matka mówiła o niej jak o psie, który ucieka, ale w końcu wraca, gdy poczuje głód.

3

21 października 2010

Mam ochotę do niego zadzwonić. Muszę do niego zadzwonić. Wyobrażam sobie, co mu powiem. Wyobrażam sobie, co mi odpowie, jego „Halo?”.

– Pierre?

– Tak.

– Pierre, to ty?

– Tak. To ja!

Ten głos... jest zirytowany, jakby się spieszył. Zawsze odbiera telefon, jak gdyby już stał w drzwiach, w płaszczu, i musiał zawrócić, żeby szybko pozbyć się natręta.

– Cześć, mówi Agnès.

Jak by zareagował? Nie zostawię mu czasu na „Agnès?”. Ani na „Agnès!”. Albo na „Dlaczego dzwonisz? Coś się stało?”.

– Wyobraż sobie, że dzwoniła do mnie policja z Gueugnon. Colette nie żyje.

Nie, nie powiem „Wyobraż sobie”. Powiem:

– Właśnie dzwoniła do mnie policja z Gueugnon. Znaleźli jakąś martwą kobietę i uparcie utrzymują, że to Colette.

Nie, nie „utrzymują”. Nigdy tak nie mówię.

– Ona przecież już nie żyje... Co ty, piłaś? Upiłaś się? – odpowiedziałby.

A ja bym odszczeknęła:

– Chciałyś! Wtedy ty i ta twoja lafirynda moglibyście dostać wyłączną opiekę nad Aną! – I bym się rozłączyła.

Nigdy w życiu nie powiedziałam „lafirynda”. Kiedy się wścieknę, krzyczę „Dziwka!” albo „Pizda!”. Które z nas rozłączyłoby się pierwsze? W którym momencie rozmowa wymknęłaby się spod kontroli?

Od trzech lat nie słyszałam jego głosu w telefonie, ale teraz mam pretekst. Colette znów umarła. „Re-umarła”. Nie ma takiego słowa. Nie można „re-umrzeć”.

Na początku, to znaczy na początku mojego końca, nasze dziecko odprowadzała do niego... to znaczy do nich... Cornélia, niania. I Cornélia przyprowadzała ją również z powrotem. Dziecko ma obecnie piętnaście lat. Jeździ metrem albo taksówką, jeśli jest późno.

*

Mój ostatni film nie miał największej oglądalności, ale za to dostał najbardziej entuzjastyczne recenzje. I to ten film jest najczęściej wyświetlany na całym świecie.

Dlaczego nagle o tym myślę? Leżałam sobie do góry brzuchem, nic już nie musiałam. Wystarczały mi dywidendy, które przychodziły co dwa tygodnie. I oto zmusza się mnie, bym zmarłychwstała, kupiła bilet na pociąg i zarezerwowała pokój gdzieś w Burgundii, gdzie diabeł mówi dobranoc. Żeby zidentyfikować ciało zmarłej starszej kobiety, której właściwie nie znam.

*

Ostatni mój film to historia miłosna. Miałam skąd czerpać inspirację.

4

Colette, panna bez dziecka, to siostra mojego ojca Jeana. Gdy umarł, zaczęła nosić po nim żałobę i ta żałoba stała się całym jej światem, który nagle ograniczył się do jej chudego, drobnego ciała, wielkich czarnych oczu, zajmujących niemal całą twarz, do jej warsztatu szewskiego, łóżka i do powietrza, którym oddychała. To było wszystko. Nigdy się nie pogodziła ze śmiercią brata. „Nie ma z czym się godzić”, mówiła, machając ręką.

Dopóki nie skończyłam siedemnastu lat, nie odzywała się do mnie. Potrafiła zamienić kilka słów z sąsiadami, z właścicielami sklepów, z klientami, z piłkarzami, którzy wielbili ją jak Włosi Najświętszą Panienkę, ale nigdy nie ze mną. Między nami panowała klasztorna cisza.

Jako dziecko musiałabym się schować za drzwiami jej warsztatu, żeby usłyszeć coś innego niż rzucane do mnie zawsze o tych samych porach dnia krótkie zdania: „Dobrze spałeś?”... „Jesteś głodna?”... „Chce ci się pić?”... „Już nie jesz?”... „Nie jest ci za gorąco?”...

Nigdy jednak tego nie zrobiłam. Ciotka mnie nie interesowała. Myślałam, że nie ma nic do powiedzenia ani mnie, ani w ogóle. Nienawidziłam wakacji, nienawidziłam jej domu, jego zapachu. Podłoga, meble, małe okna, mój pokój, który śmierdzał naftaliną.

Kiedy miałam dziesięć lat, wycinałam z magazynów zdjęcia młodych dziewczyn, które mi się podobały, i wklejałam je do zeszytu w kratkę, bo chciałam wyglądać jak one, mieć tak samo

obcięte włosy, takie same usta, taki sam niebieski moherowy sweater. Jak mogłam interesować się ciotką, która nie malowała się ani nie przywiązywała wagi do swojego wyglądu? Należała do kobiet, o których mówiono: „Gdyby się trochę postarała, byłaby nawet ładna”. Tonęła w swoich ubraniach, jakby specjalnie kupowała za duże rozmiary, jakby robiła wszystko, żeby zniknąć.

Żeby dać zarobić sklepom w Gueugnon, przed rozpoczęciem roku szkolnego dawała mi trzy czeki in blanco: pierwszy, żebym kupiła sobie ubranie w sklepie Shopping, drugi, też na ciuchy, u Causarda, trzeci, żebym wybrała sobie porządne buty u pani Bresciani. Dla ciotki porządne buty oznaczały doskonałą jakość, czyli musiały być drogie i skórzane, i zawsze mnie obcierały.

*

Co roku pod koniec sierpnia słyszałam więc to zdanie, wypowiedziane dość obojętnie: „Masz, ubierz się jakoś do szkoły”.

5

Trzy lata temu, gdy mieszkalam jeszcze w Los Angeles, Colette zmarła we śnie. Dwa razy umrze we śnie. Nie pojechałam na pogrzeb. Piętnaście godzin lotu. „Nie warto”, powiedział przez telefon Louis Berthéol, były piekarz z Gueugnon i przyjaciel ciotki.

Wszystkim się zajął. Wystawiłam czek na koszty pogrzebu, tak jak kiedyś ciotka wystawiała czeki, żebym się „jakoś ubrała do szkoły”. Nie musiałam nawet wypełniać żadnych papierów. Louis zorganizował pogrzeb, który odbył się trzynastego sierpnia 2007 roku.

Kiedy wróciłam, wręczył mi pudło z rodzinnymi zdjęciami, proporczykami i kilkoma szalikami klubowymi. Ubrania oddał do opieki społecznej.

Poszłam pieszo na cmentarz. Był początek stycznia. Lodowato. Szukałam jej grobu i w końcu znalazłam go w siódmej alei. Ani kwiatów, ani wieńców, ani tabliczki – podobno tak sobie życzyła. Tylko para butów na szarym marmurze. Model z ciemnoniebieskiej skóry, w stylu kickersów. Z ciekawości sprawdziłam rozmiar. Trzydzieści siedem. Ciotka nosiła numer trzydzieści sześć. Spytałam Louisa, kto postawił tam te buty. Nie potrafił mi powiedzieć.

W 2007 mieszkalam w Stanach już od czterech lat. Przez te lata dzwoniłam do Colette w każdy wtorek. Dlaczego we wtorki? Nie wiem. Pewne zwyczaje powstają nie wiadomo jak. Za każdym razem poruszałyśmy te same tematy: pogoda, zdrowie, coraz gorsza jakość butów produkowanych przez nieszczęsnych biedaków

przy taśmie, ze szwami, z których pozostała tylko nazwa. No i ciotka informowała mnie o osiągnięciach swojej ulubionej drużyny, co obchodziło mnie tyle co zeszłoroczny śnieg. Mówiła o transferach piłkarzy, o zawodnikach, którzy dobrze się zapowiadali, o tych, którzy za dużo się bawili, o odważnych i nic niewartych. O tym, że umarł jakiś dawny piłkarz, a jednemu z kibiców urodził się syn. I zawsze kończyła rozmowę tymi samymi słowami, wypowiedzianymi niepewnym głosem: „A jak tam praca? Robisz nowy film? A Ana? Pierre? Są zdrowi? Stany to taki wielki kraj...”.

„Wszystko dobrze, nie martw się”, odpowiadałam.

Żadnego „Całuję mocno!” czy „Ściskam cię!”. Nigdy nie mówiła niczego takiego. Tylko ciche „No to na razie”.

Na co ja: „Do wtorku!”.

Wydaje mi się, że z czasem zaczęłam dodawać: „Uważaj na siebie!” albo „Dbaj o siebie!”. Coś w tym rodzaju.

6

22 października 2010

Pokój hotelowy numer 3. Torba, spakowana pośpiesznie po telefonie kapitana Rampina, rzucona na łóżko. Hotel Monge, dawny Hôtel du Centre, został całkowicie odnowiony. Od dziecka przychodziłam tu do restauracji z rodzicami i ciotką. W każde Boże Narodzenie. I czasem jadałam tu obiady z prezesami klubu piłkarskiego; nie pamiętam ich nazwisk. Przyjeżdżali po ciotkę do warsztatu, pachnący elegancką wodą toaletową, i mówili: „Pani Septembre, zapraszamy panią na obiad do Georges’a”. Georges Vezant był kiedyś właścicielem hotelu i szefem kuchni. Wszystko mi tam smakowało. Jeszcze dziś na to wspomnienie ślina leci mi do ust.

Po takim zaproszeniu ciotka odkładała but, który właśnie nawiązywała, i szybko biegła po mnie tam, gdzie akurat byłam. Najczęściej jeździłam na rolkach przed kościołem, cała spocona i ze strupami na kolanach. W pośpiechu myłam ręce, przeciągałam szczotką po włosach i szłyśmy na obiad. Dla mnie to było święto. Piękne białe obrusy, kryształowe kieliszki, sznycel cieliący w sosie śmietanowym, podsmażane ziemniaki, smażone ryby, wędzona szynka, ślimaki z Burgundii. A ciotka dostawała purée ze specjalnym sosem przygotowanym przez Georges’a. Jadła pochylona nad talerzem, onieśmielona, milcząca. Ale również dumna, że ci mężczyźni ją zapraszają, uważają, że jest ważna dla klubu.

Obecnie hotel i restauracja przeszły w ręce Leslie, drobnej, energicznej brunetki, która rozmawia z aniołami i leczy z różnych

chorób. Dziś jej nie ma. Szkoda. Gdyby była, poprosiłabym ją, żeby nawiązała kontakt ze zmarłą trzy lata temu Colette, i może ta powiedziała by coś mądrego na temat kobiety z rue des Fredins. Tej, która była w posiadaniu dowodu osobistego Colette, jej testamentu i mojego paryskiego numeru telefonu. Numeru, którego nie miałam przed śmiercią ciotki.

*

Od wczoraj próbuję się dodzwonić do Louisa Berthéola. Nie odpowiada. W drodze do Gueugnon poprosiłam taksówkarza, żeby przejechał przed jego domem. Wszystkie okiennice były zamknięte.

O czternastej mam być w szpitalu, żeby zidentyfikować ciało. Kapitan Rampin przyjedzie po mnie do hotelu. Mam jeszcze dwie godziny. Idę więc obejrzeć dom, w którym znaleziono ciotkę. Nadkładałam drogi, żeby przejść rue Pasteur, gdzie kiedyś był warsztat szewski Colette. Teraz przejęła go jakaś para.

Moja ciotka nie była właścicielką ani warsztatu, ani domu obok. Płaciła Louisowi symboliczne komorne. „Tyle co nic”, mówiła czasami, po czym mruczała coś do naprawianych właśnie butów czy toreb. Pieniądze trzymała w kasetce. Pamiętam, jak gładziła dłonią banknoty. Kiedyś któryś z jej sąsiadów powiedział mi, że w Gueugnon wszyscy myślą, że ciotka ma grubą wełnianą pończochę. Odpowiedziałam: „Tak, z pewnością”, udając, że wiem, o co chodzi. Po powrocie do warsztatu popatrzyłam na nogi ciotki – miała na sobie cienkie rajstopy.

Po jej śmierci Louis poinformował mnie, że nie znaleziono u niej żadnego skarbu. Na koncie w banku miała może dwieście euro. Powiedziałam Louisowi, żeby je zatrzymał za te wszystkie przysługi.

– Być przyjacielem twojej ciotki to nie przysługa, to szczęście – odparł.

– Zgoda, ale zatrzymaj te pieniądze.

*

Witryna jest wciąż taka sama. Nie ma tabliczki *Zamknięte z powodu meczu*. Wieszala ją na drzwiach co drugą sobotę, chyba że Kowale grali wieczorem. Nowi właściciele zamontowali nowocześniejszy szyld i usunęli kamienne donice, w których Colette uprawiała pelargonie, żeby odpędzić muchy i żeby było ładnie. Na podwórku wciąż ten sam żwir, ten sam przyległy dom i schody prowadzące do wejścia. Sto metrów dalej szkoła podstawowa; słyszę krzyki dzieciaków na dziedzińcu. Ile razy tam chodziłam, wyobrażając sobie, jak może wyglądać ta szkoła pełna dzieci? Ja zawsze widziałam ją pustą, w wakacje.

Jest południe. W całym mieście słychać wycie syreny. Już od stu lat oznacza to, że robotnicy wychodzą z fabryki Forges. Jednocześnie podnoszą się dwie bramy, od strony mostu i od strony placu Forges. Z fascynacją patrzyłam czasem spod mostu, jak stado ucieka po pracy na rowerach, skuterach albo pieszo do samochodów zaparkowanych na nabrzeżu Arroux, rzeki płynącej przez Gueugnon. Robotnicy, kierownicy, technicy, majstrowie, urzędnicy, kontrolerzy. Ósmego maja 1945 roku, w dzień kapitulacji Niemiec, syrena wyla przez cały kwadrans.

Na rue des Fredins dziewiętnaście docieram w ciągu kilku minut. Po drodze z przykrością widzę, że witryny pięknych sklepów w centrum zmieniły się w banki, biura ubezpieczeń, zakłady optyczne czy laboratoria medyczne. Tylko kilka sklepów jeszcze walczy.

Nie mogę wejść do domu – dostęp odcina wysoka drewniana furtka zamknięta na cztery spusty i wysoki ligustrowy żywopłot otaczający jakieś trzysta metrów kwadratowych ogrodu. Pcham furtkę, kręcę klamką na wszystkie strony, ale nic z tego. Cofając się, dostrzegam cementowe płytki. Nie ma skrzynki na listy. Nic więcej nie zobaczę. Przechodzi mnie dreszcz, jakbym nagle dostała gorączki.

22 października 2010

Dziś są moje trzydzieste ósme urodziny. Powinnam je obchodzić z córką w jakiejś paryskiej restauracji, ale los zdecydował inaczej.

Kapitan żandarmerii Cyril Rampin prowadzi nieoznakowany samochód. Wysoki, młody, starannie ogolony jasny szatyn. Wygląda na kogoś, kto traktuje swoją pracę serio, i niewiele mówi. Tym lepiej. Przywitał się, powiedział, że dostał tu przydział dwa lata temu i że pochodzi znad Sommy, po czym zamilkł.

Nie znam Sommy, widziałam tę rzekę tylko na polach bitwy z filmów o pierwszej wojnie światowej. Kapitan, zwracając się do mnie, patrzy prosto w oczy, ma mocny uścisk dłoni. Uprzejmy i pełen szacunku, jest sympatyczny i wzbudza zaufanie.

Trzy minuty po drugiej schodzimy do szpitalnej kostnicy. Wszystko odbywa się dokładnie tak jak na filmach, także na jednym z moich, *Milczeniu Boga*. Muszę pokazać dowód tożsamości, a potem idziemy piwnicznymi korytarzami. Zmarli nigdy nie leżą w nasłonecznionych pomieszczeniach. Jakby śmierć należało ukrywać w podziemiach.

– Jadła pani obiad? – pyta mnie Rampin.

– Przegryzłam coś w pociągu.

Pewnie się boi, że zacznę wymiotować.

W zimnym szaroniebieskim świetle leży na stole zakryte ciało. Lekarz sądowy wita się ze mną i unosi prześcieradło w kolorze ścian.

Nie jestem w stanie wymówić słowa. Jej twarz, szyja, ramiona... Trochę schudła. Postarzała się. Jest martwa. Zimna. Oczy ma zamknięte. Jej śliczna cera zniknęła, zmieniła się w woskową maskę. To ona i nie ona. Ale to ona. Poznaję ją. Kapitan pyta, czy jestem pewna.

Tak, jestem pewna.

Myślę tylko o niebieskich butach. Czy wciąż stoją na grobie nieznajomej na cmentarzu w Gueugnon?

Ostatni raz, gdy widziałam zmarłą osobę, była to moja mama.

Przedwczoraj ciotka Colette jeszcze żyła, a ja nie miałam o tym pojęcia.

– Może pamięta pani, czy zmarła miała jakiś znak szczególny?
– pyta mnie lekarz.

Kręcę głową.

Miała ich wiele, ale żadnego nie da się zobaczyć na tych biednych chudych zwłokach. Chodziła szybkim krokiem, miała klasę, była bystra, inteligentna, nigdy nie wyszła za mąż, nie słyszałam, żeby miała kochanka, nie miała dzieci; była taką samą zagadką jak grób, w którym od trzech lat leży nie wiadomo kto; miała ładne dłonie, zręczne ręce, była fanką drużyny piłkarskiej z Gueugnon, Agathy Christie, Pierre’a Bellemare’a i komisarza Maigreta.

W tym momencie dociera do mnie, że jestem idiotką. Odwracam się do Rampina i mówię cicho:

– Jestem idiotką.

8

Myślę, że zawsze spisywałam różne historie dlatego, że każde wakacje spędzałam u ciotki. Kiedy życie wracało na zwykłe tory, byłam w innym świecie, daleko, w innym mieście, w innym miejscu, z innymi przyjaciółmi. Przez całe dzieciństwo byłam nieobecna dla innych. Ci z mojej szkoły nie widzieli mnie od pierwszego dnia wakacji, a ci z Gueugnon spotykali się ze mną, gdy tylko dzwonek ogłosił pierwszy dzień ich wolności.

Jutro przyjeżdża!

Dorośli nazywali mnie wakacyjną dziewczyną albo bratanicą Colette Septembre. Rówieśnicy mówili do mnie po imieniu.

Wszyscy wyjeżdżali na wakacje do Fréjus, Quiberon, do Hiszpanii. Nad morze, w góry. A ja do Gueugnon. Rodzice rzadko odstępowali od tego zwyczaju. Nawet po śmierci ojca. Aż do pełnoletności byłam skazana na zakład szewski przy rue de la Liberté, na plac przed kościołem, na mostek, miejski basen i mecze na stadionie Jeana Laville'a.

- Dokąd jedziesz?
- Do Gueugnon w departamencie Saony i Loary.
- To daleko?
- Nie bardzo.

Byłam zawsze w pobliżu Colette. Moich przyjaciół z Gueugnon można było policzyć na palcach jednej ręki. Hervé, Adèle i Lyèce. Dzieciaki, które spotykały się w ciągu dnia, gdy ich rodzice, właściciele sklepów, harowali, pilnując interesów. Trzeba było jakoś

wypełnić wakacyjne godziny. Rozstawaliśmy się w porze obiadu, góra na pół godziny, a wieczorem mieliśmy meldować się w domach koło szóstej. Trzeba było się umyć, a niektórzy musieli jeszcze nakryć do stołu do kolacji.

Ja mieszkalam u ciotki i nie miałam takich obowiązków; wystarczyło, że wykapałam się w jej malutkiej wannie. Potem zanurzałam się w przygody Tintina, którego uwielbiałam. Colette zamawiała dla mnie te komiksy w kiosku. Czytałam je po kilka razy. Przede wszystkim *Klejnoty Bianki Castafiore*, bo ich akcja rozgrywała się na zamku Moulinsart. To mnie uspokajało, nie wiem dlaczego. A kiedy nabierałam ochoty na podróżę albo zaczynałam tęsknić za rodzicami, zabierałam się do *Tintina w Tybecie*, *Błękitnego Lotosu* czy *Świątyni Słońca*.

W letnie wieczory nasza czwórka, Lyèce, Adèle, Hervé i ja, mogliśmy przebywać poza domem do dziewiętej. A kiedy był wielki upał, godzinę dłużej. Włóczyliśmy się brzegiem Arroux. Wybieraliśmy się na mostek. Puszczaliśmy kaczki. Słuchaliśmy radia albo muzyki z mojego magnetofonu. Zastanawialiśmy się, jaka będzie nasza przyszłość. Ja chciałam zostać reporterką. Lyèce zawodowym piłkarzem w drużynie narodowej, Adèle lekarką i pracować dla organizacji Lekarze Świata, a Hervé eksploratorem.

– A cóż ty chcesz eksplorować, Hervé?

– Jeszcze nie wiem.

– Dlaczego Lekarze Świata, Adèle? Czemu nie chcesz być po prostu lekarką?

Czasem w trakcie wakacji tata i mama przyjeżdżali i zgarniali mnie jak resztki z talerza na dwa albo trzy dni. Poza tym Lyèce i ja spędzaliśmy cały sierpień razem. Sklep spożywczy jego ojca był czynny bez przerwy, a moja ciotka nie wyobrażała sobie, że można wyjechać z Gueugnon, chyba że z drużyną piłkarską.

Hervé i Adèle wyjeżdżali z rodzicami na trzy tygodnie nad morze; ich rodzice zamykali sklepy i zostawiali wywieszki *Zamknięte z powodu urlopu*. Nie jechali nad to samo morze: Hervé nad Śródziemne, a Adèle nad Atlantyckie.

– Nie ma ryzyka, żebyście się spotkali, płynąc – powiedział

kiedyś Lyèce.

Gueugnon w sierpniu było wyludnione. Martwe miasto, upalne i puste jak w westernach, kiedy pozytywny bohater albo ten zły wjeżdża na puste ulice miasteczka i wszyscy mieszkańcy się chowają.

*

Są tutaj, cała trójka. Siedzą w recepcji. W jesiennych ubraniach, ale lekkich, bo jest dość ciepło, mimo że już październik. Adèle, Lyèce, Hervé. Straciliśmy się z oczu. Czasem słowo na Facebooku, lajk albo serduszek w komentarzu do tej czy innej fotografii, która zwróciła naszą uwagę.

Hervé przytył i wiek zatarł mu trochę rysy, ale pozostała dwójka się nie zmieniła. Adèle wciąż ma młodzieńczą sylwetkę, Lyèce jest piękny jak w dzieciństwie.

Pierwsza odzywa się Adèle. Odwrotnie niż wtedy, kiedy byliśmy dziećmi. Wówczas się nie odzywała.

– Dowiedzieliśmy się, że przyjechałaś! Tu każdy wszystko od razu wie! – Wstaje i bierze mnie w ramiona. Pachnie kapryfolium. Jak kiedyś.

Ale ja myślę o czymś innym i zamiast się przywitać, powiedzieć „Dzień dobry” albo „Dobry wieczór”, „Jak fajnie, że przyszliście”, „Co u was słychać?”, mówię bez zastanowienia:

– Moja ciotka, która leży na cmentarzu w Gueugnon, nie jest moją ciotką. Ciotka zmarła dwa dni temu.

Obaj chłopcy rzucają mi pytające spojrzenie, wstają i po kolei obejmują mnie bez słowa. Lyèce pachnie ambką, Hervé wetywcią.

– Powinna się domyślić, że coś jest nie tak, kiedy odbierałam jej rzeczy. Nie było tam prawie nic na temat FCG. A przede wszystkim ani śladu jej kolekcji, a to były dziesiątki zeszytów! Wycinała wszystkie artykuły z gazet. Przez kilkadziesiąt lat. Więc czy to normalne, że nic nie znalazłam? Ależ jestem głupia! Wyobrażacie to sobie? Byliście na pogrzebie mojej ciotki trzy lata temu, ale to wcale nie była ona!

– Niemożliwe! – odpowiada jednocześnie cała trójka.

- Wracam z kostnicy! Przed chwilą ją widziałam.
- Jesteś pewna?
- Całkowicie! Przecież wystarczająco długo z nią mieszkalam. Jak miałabym jej nie poznać... Nawet martwej.
- Milkną i zamyślają się.
- No to kto leży tam na cmentarzu? – odzywa się w końcu Hervé.
- Nie wiadomo.
- Myślisz, że trumna może być pusta?
- Nie mam pojęcia! Kapitan żandarmerii powiedział, że porównają DNA Colette z moim i że będą ekshumowali tamtą osobę.
- Tego się nie robi – szepcze Adèle. – Nie można zakłócać spokoju zmarłych.
- Muszę poznać prawdę – mówię.
- Adèle wzrusza ramionami.
- Jaką prawdę? – rzuca. – I właściwie po co?
- Co robisz wieczorem? – zwraca się do mnie Hervé.
- Przecież to twoje urodziny – dorzuca Lyèce.
- Trzeba coś zorganizować, nie zostawimy cię samej!
- Nie mam nastroju do zabawy.
- Tym bardziej! – Hervé uśmiecha się.
- Rano mam spotkanie na rue des Fredins. W domu, w którym podobno ostatnio mieszkała Colette.
- Na rue des Fredins? Gdzie dokładnie?
- Pod numerem dziewiętnastym...
- Boże, co to za historia!
- Nigdy jej nie spotkaliście? – pytam. – Nie widzieliście jej?
- Absolutnie nie! – odpowiada Adèle.
- Może zmarłych nie widać. Chodzi mi o to, że jeśli człowiek myśli, że ktoś nie żyje, to nawet jeśli na niego wpadnie, nie widzi go. Mózg nie jest na to przygotowany.
- Idziemy się czegoś napić? Przecież nie będziemy tak stali.
- Zarezerwujemy stolik tutaj? – pyta Adèle.
- Nie trzeba rezerwować, i tak nikogo nie ma.

Moim pierwszym chłopakiem był Jacques Daubel. Było lato 1985 roku. Jacques, kuzyn Hervégo, miał ojca Wietnamczyka i matkę Francuzkę. Doskonały profil, prosty nos, delikatne rysy, ładne usta i duże oczy w kształcie migdałów. Spędzał w Gueugnon wakacje, tak jak ja. Pływaliśmy w miejskim basenie i jeździliśmy na rowerach. Chodził na mecze piłki nożnej, jak wszyscy. Dla mieszkańców miasta była to rozrywka. Czasem w łoży prasowej pojawiali się dziennikarze, z Canal+ i inni, nawet sam Thierry Roland. Dodatkowa atrakcja.

W bufecie prowadzonym przez kibiców opychaliśmy się kanapkami, kielbaskami z grilla i wypijaliśmy litry coli. Były też orzeszki ziemne w łupinkach, które sprzedawał pan Dollet, chodząc w przerwie po trybunach.

Kiedy drużyna Gueugnon strzelała gola, wrzeszczeliśmy z radości. Z daleka widziałam, jak ciotka wstaje. Wydawała się wtedy dużo wyższa. W przeciwieństwie do pozostałych kibiców nigdy nie krzyczała. Na jej usta wypływał zagadkowy uśmiech, wielkie oczy błyszczały. Potem siadała z powrotem, ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Czasem mówiła coś pod nosem, bezgłośnie, z oczami wbitymi w piłkarzy, jakby się modliła. Kiedy przeciwnicy zdobywali bramkę, zamierała i robiła się biała, jakby życie z niej uciekło, tam na cementowej trybunie.

Widziałam łzy w jej oczach, gdy drużyna z Gueugnon przegrywała. Łzy, które nie spływały po policzkach – zostawały w kącikach oczu, żeby nie przeszkadzać i nie zwracać niczyjej uwagi.

*

Wszyscy jesteśmy w wieku, w którym ma się dorastające dzieci. Wieczorami mamy więc czas dla siebie, nawet jeśli nie jest jeszcze bardzo późno. Koniec z kąpaniem, szykowaniem kolacji, z pomaganiem w lekcjach. Nasi potomkowie już sami odgrzewają sobie kolację, po czym zamykają się w swoich pokojach i udają, że się uczą.

– No i mają komórki – odzywa się cicho Adèle. – To wygodne,

zawsze można się z nimi skontaktować, a nawet sprawdzić, gdzie są.

Adèle ma siedemnastoletnie bliźniaczki, które studiują w Dijon. Zamiast działać w organizacji Lekarze Świata, została niezależną pielęgniarką, z własnym gabinetem.

– Właściwie wychodzi na to samo – żartuje. Rozwiodła się, kiedy dziewczynki miały po dziesięć lat; ma partnera, ale nie mieszkają razem. – „Osobnowieczory” – mówi z uśmiechem.

– W sumie fajne określenie – przyznaje.

– Użyjesz go w filmie? – pyta.

– Jedno, czego nigdy nie ośmieliłabym się wykorzystać w filmie, to... – Głos mi się łamie. – Dlaczego moja ciotka udawała, że umarła? Przed czym się chowała? Ilu Gueugnon ma mieszkańców? Z osiem tysięcy? Nie powiecie mi, że nikt jej nie widział! Przecież na rue des Fredins prawie wszystkie domy są zamieszkałe. Ona nie żyła jak pustelnik.

– Stary Berthéol! – rzuca Hervé. – On musi coś wiedzieć. Był bardzo zżyty z twoją ciotką.

– Nie ma go w domu. Nie odbiera telefonu. Przechodziłam dziś koło jego domu, wracając z kostnicy, i nikogo nie zastałam. To wszystko jest takie dziwne. Mam wrażenie, że śnię.

– Byłem na pogrzebie twojej ciotki – wtrąca Lyèce. – Przyszło mnóstwo osób. No... może nie aż tyle, bo to było lato. Ludzie z klubu, piłkarze, właściciele sklepów. Widziałem, jak trumna zjeżdża w dół. Widziałem to na własne oczy.

– Co za historia! – mówię. – Zupełnie jak moje życie prywatne: tu gubię, tam znajduję, gubię, znajduję, w kółko to samo.

Wszyscy się uśmiechają.

Hervé jest agentem ubezpieczeniowym. Ma trójkę dzieci, każde z inną żoną. Najmłodsza córka ma siedem lat, ale niedawno rozstał się z jej matką. To jest silniejsze od niego; musi flirtować, romansować, zdradzać.

– Zgroza – narzeka.

Tylko Lyèce nie ma dzieci.

– Przynajmniej, o ile wiem... – dodaje z uśmiechem, dolewając

sobie lemoniady. Porzucił karierę sportową i zapisał się na kurs zawodowy w fabryce; chce zdobyć dyplom operatora linii produkcyjnej.

– Widzę małą co drugi weekend – opowiada Hervé. – Starsza mieszka w Lyonie, jak ty, Agnès, kiedy byłaś małą. Ma chłopaka. A syn jest u mojej mamy, niedaleko stąd. Ma szesnaście lat. Biorę go do McDonalda i tak dalej. Lubi samochody i piłkę nożną... Kurwa, mam ochotę pójść na ten cmentarz i sprawdzić, kto tam leży!

– Nie wolno zakłócać spokoju zmarłych – powtarza Adèle.

– Przestań! Jak ktoś umarł, to umarł, nikt nikomu nie przeszkadza.

– Chciałabym, żeby już było jutro, żebym mogła wejść do tego domu przy rue des Fredins – wyznaję.

– Mamy iść z tobą?

– Chyba nie możemy – mówi Lyèce. – Idziesz z tym żandarmem?

– Tak.

– Ile czasu zostajesz w Gueugnon?

– Nie wiem. To będzie zależało. To wszystko jest takie... nieprzewidziane. Dobrze mówię?

– Widziałaś się z tą dziennikarką?

– Z jaką dziennikarką?

– Z Nathalie Grandjean.

– Coś takiego! To dziennikarka?

– Tak i trafisz do gazet. A może nawet do telewizji. Zmarła, która nie zmarła! To nie przejdzie bez echa! Zwłaszcza że twoja ciotka cieszyła się tu popularnością.

– Może zamówimy na spółkę deskę serów?

– Adèle, zapomnij! Jakie sery? To urodziny wielkiej damy, ma być na bogato!

– No a ty, Agnès, co u ciebie? Chyba super, co?

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).